Ner 20.

WARSZAWIANIN

TYGODNIK MÓD.

Dnia 13. Lipca 1822. Roku.

OBLUBIENIEC GROBOWY.

Powieść Polska

Wyięta z Flory— *Rocznika Damskiego.*

Na drogiéy Polakom ziemi *Krakusa*, nie zbyt daleko od grodu tego Xiążęcia, w dzikiéy okolicy, wznosi się wieża szanowana od czasu, szczątek warownego niegdyś *Skarbimirów* zamku, i świadek próżności ludzkiéy — Chwieiące się mury, cofaią kroki wędrowca. Od wschodu, Królowa rzek naszych *Wisła*, spokoyne nurty rozlewa— ogromne *Karpaty*, nad któremi wypukłym grżbietem *Babia-góra* panuie, zamykaią widnokrąg— Od północy, ieżeli mgła przedmiotów oczom nie ukrywa, widać szczyty świętobliwego *Bielan* klasztoru. Liczne wioski, leżące na wzgórzach, uwieńczonych Sośniną i Brzozą, zaymuią uwagę od zachodu— a rozległy i gęsty las iodłowy, zasłania rozwaliny od południa. Przerażaiące wieści i trwoga, z powodu rozgłaszanych zjawisk, wyludniły te mieysca. Ci tylko, których długie cierpienia nieczułymi na wszystko zrobiły— albo którzy z nędzy przymuszeni są szukać iakiego bądź schronienia, zamieszkuią pozostałe nędzne chaty, rozrzucone w około rozwalin.

Rzadko kiedy flet pasterza, ożywia tę posępną okolicę— wesoły taniec krakowski, nieznany iest nędznym mieszkańcom. Jak tylko dzwon parafjalnego

kościołka wzywa na wieczorną modlitwę, miłośnik nocy i grobów, złe wróżący Puszczyk, ękliwym głosem zdaie się zapowiadać tę porę, w którey cienie zmarłych, krążą po ulubionych sobie za życia mieyscach.

Słońce miało się ku zachodowi — kiedy strudzony cało-dzienną wędrówką, zbliżyłem się do téy wioski. Na próżno do kilku chat pukałem, prosząc o nocleg— biédny wieśniak nie miał się czém dzielić z przychodniem. Wszyscy odsyłali mnie do mieyscowego Plebana.— Udałem się w końcu do niego.— Przyiął mnie z dobrocią. Był to sędziwy starzec— cnotliwy, prosty i otwarty.— Ciągłe przeciwności, nauczyły go bydź tkliwym na nieszczęście innych — iedyném iego staraniem było, wlewać balsam pociechy, w poruczone sobie owieczki.— Po krótkich chwilach wzaiemnego obcowania, poznałem go dokładnie. Wpadliśmy na rozmowę o zamku i iego dziedzicach. „Wiele tu, rzekł móy gospodarz, dziwnych rzeczy prawią— ia sam, w przypadkowo odkrytym rękopismie, bardzo zaymuiącą czytałem powieść, którą ieżeli pozwolicie, chętnie wam opowiem, zanim przyrządzą wieczerzę.” — Przystałem na to iak naychętniéy. Usiadłszy pod cieniem rozłożystéy Lipy, z kąd całe zwaliska naydokładniéy widzieć się daią, Pleban tak zaczął mówić:

„Niegdyś w tych mieyscach panował dostatek — obszerny dziedzieniec, zalegał tłum dworzan i przywiązanych do Pana włościan. Hoyność dziedziców, ściągała z całéy Polski mężów, wsławionych radą i nauką. Za panowania nieszczęśliwego *Jana Kazimierza*, ostatni potomek zamożnego *Skarbimirów* rodu, stargawszy siły na usługach Oyczyzny, przybył do zamku przodków swoich, ostanie chwile życia poświęcić wychowaniu, iedynéy dziedziczki imienia swego i maiątku. Piękna iak wiosenny kwiat *Hanna*, pociechą była zgrzybiałego Oyca. Nikt nad nią więcéy przymiotów serca, i powabów nie posiadał. Wszędzie głoszono cnoty *Hanny*— wszyscy wielbili iéy wdzięki.— Nie raz kiedy *Skarbimir*, zasiadłszy z sąsiadami około obszernego komina, spędzał długie wieczory, na opowiadaniu świetnych wypraw— na opisywaniu Dworu, Hetmanów, i licznych przypadków, których w woy-

skowém życiu doznawał.— *Hanna* z anielskim uśmiéchem, przygrywała na Arfie—albo przyiemnym głosem, chwalebne czyny przodków śpiéwała. Twarz sędziwego Oyca iaśniała radością— a całe grono przyiaciół, z natężoną uwagą, piękną dziewicę słuchało.

Nayznakomitsza młodzież ubiegała się o rękę *Hanny*— ale wybór Oyca padł na młodego *Zelisława*, który walcząc przy boku *Czarneckiego*, w nieiednéy walce okrył się chwałą. Prócz osobistych zalet młodzieńca, przywiązywała do niego *Skarbimira*, dawna i trwała przyiaźń z iego oycem, który starszy wiekiem, zakończył chwalebne życie, poruczaiąc Syna pamiątce przyiaciela.

Czarnecki przywrócił na Tron prawego Monarchę — woyska Szwedzkie, wycieńczone długą woyną, niechętnie się biły— wszystko wróżyło Polsce, szczęście i pokóy. Rycerze wracali z Żołnierstwem, do oyczystych zagród. *Skarbimir* uwiadomił listownie młodego *Zelisława*, o swoiém przedsiewzięciu. Czas zaręczyn wyznaczony został— ogłoszono Turnieie— na który cały kwiat rycerstwa, zebrał się w *Skarbimirów* zamku.

Zbliżył się nakoniec dzień oczekiwany od *Skarbimira*, w którym dwa nayznakomitsze domy, nierozdzielnym węzłem połączyć się miały. Jak tylko piérwsze światło zorzy błysło, huk moździerzów zapowiedział okolicznym mieszkańcom, uroczysty obrzęd. Zjechali się z całemi dworami sąsiedzi— obszerne pokoie zamku, zaledwo zdołały pomieścić zgromadzonych gości. *Skarbimir* był wszędzie, i wszystkiém się trudnił. Zaięty iedynie przyszłém szczęściem ukochanéy córki, wszelkiego przykładał starania, aby ten dzień świetnieyszym uczynić.— W sali rycerskiéy, ozdobionéy puklerzami, dzirytami, buńczukami, zdobytemi na nieprzyiaciołach, zastawione stoły iaśniały bogatemi naczyniami. W blizkiéy komnacie, wyprawa weselna ściągała uwagę przytomnych.

Wszystko było w pogotowiu— sam tylko *Zelisław*, pomimo danego słowa, nie przyieżdżał. Niecierpliwy *Skarbimir*, wychodził co chwila na wieżą

zamkową, i rozległe okolice, troskliwym przebiegał okiem. Każde stąpanie konia, albo wznoszący się-tuman kurzawy, łudził iego oczekiwanie. Już zachodzące Słońce, ostatnie promienie rzucało— ieszcze *Zelisława* widać nie było. Goście z nieukontentowaniem odpowiadali, na grzeczności gospodarza — starsi szemrali— młodzi głośno utyskiwali, na zawód narzeczonego. Piękna *Hanna* koiła iak mogła, rozdrażnione umysły.

Nagle odgłos rogu strażnika zamku, rozległ się po obszernéy sali sklepieniach. Wszyscy ruszyli się z mieysc swoich. Po nieiakiéy chwili, wchodzi uzbroiony rycerz.— Czarna szarfa przewiązywała stalowy pancerz— a na świetnym hełmie, czarne powiéwały pióra. Postawa iego wyniosła— twarz szlachetna, na któréy rozlana bladość, świéże malowała cierpienia,— ruszenia wolne,— głos poważny,— uderzyły przytomnych. *Skarbimir* nie wątpiąc że to był *Zelisław*, i że go trudy woienne zmieniły, przyciska go z czułością do serca— przedstawia iako przyszłego swego zięcia, zgromadzonéy szlachcie,— i obok *Hanny*, na pierwszém sadza mieyscu. *Hanna* nieznacznie, ciekawe oko na swego oblubieńca rzucała. Jego słowa, mimowolnie podwaiały bicie, niedoświadczonego serca. Również i rycerz, zaięty był nadobną sąsiadką — i w ten czas tylko nieco z posępności tracił, kiedy iéy przenikaiące spotykał weyrzenia. Na wszystkie zapytania, odpowiadał krótko i oziębłe. Próżno *Skarbimir* ożywiał wesołość— wszystkich ponurość oblubieńca raziła. Niekiedy rycerz cichym głosem odzywał się do *Hanny*, która go z widoczném zadowolnieniem słuchała. Stare matrony, spoglądaiąc na przyszłych małżonków z uśmiéchem, między sobą gwarzyły.— W krótce goście zagrzani hoynie roznoszonym trunkiem, spuścili z oka rycerza, i oddali się wesołości — Po opowiadaniu przypadków prawdziwych, nastąpiły opisy, o strachach i duchach, za których pewność, szczególniéy matrony ręczyły. — Z kolei *Skarbimir*, wpadł na historyą Czarnoxiężnika *Twardowskiego* — rozwodził

się nad iego cudownymi czynami — przymierzem z diabłem — nadpowietrzną wędrówką po kraiach niemieckich — twierdził nawet, iż po śmierci, przybył zabrać swoią oblubienicę, i wciągnął ią z sobą do grobu.

W czasie całego opowiadania, rycerz miał wlepione oczy w *Skarbimira*. Za uderzeniem północnéy godziny, powstaie wolno z krzesła — i skinieniem głowy, żegna wszystkich. Zdziwiony gospodarz, przekłada mu, iż iego pokoie są gotowe — wystawia niepodobieństwo puszczania się w drogę, o tak późnéy porze. — „Jestem oczekiwany, wcale w odmienném mieszkaniu!” — rzekł taiemnie rycerz. Te wyrazy przeszyły trwogą *Skarbimira*. Powtarza iednak swoie prośby — ale widząc nieugiętość rycerza, wyprowadza go na dziedziniec — gdzie iuż czarny, rumak, niecierpliwym kopytem ziemię wyrywał. Żegnaiąc *Skarbimira*, powtarza rycerz: „Mam pewne obowiązki, których święcie dochować muszę.” — „Nie możeż cię kto inny zastąpić?” — „Ciało moie nie do mnie należy... iest ono własnością ziemi — i o téy godzinie, ma iéy bydź powierzonėm.... zabóycza ręka, przecięła żywot *Zelisława*!....” Po tych przerażaiących słowach, wsiadł na konia — i z szybkością błyskawicy, zamek porzucił.

Skarbimir opowiedział przytomnym całe zdarzenie — Kilka kobiét zemglało — a łzy skropiły narzeczonéy lica. Wszyscy zaczęli się rozszerzać, nad podobieństwem do prawdy, tego wypadku — i na dowód, tysiączne przytaczali powieści. Jeden z młodszych odezwał się, iż to wszystko było udaniem ze strony *Zelisława* — iednogłośnie okrzyczano go za niedowiarka. Smutny *Skarbimir* pożegnał gości — i udał się na spoczynek. Nazaiutrz odebrał urzędową wiadomość, iako *Zelisław*, opuściwszy chorągwie *Czarneckiego*, w lasach na granicy ziemi *Sandomirskiéy*, od zbiegów Szwedzkich napadnięty, śmiertelnie ugodzony został — i że przywieziony przez swego przyiaciela i towarzysza broni, młodego *Tenczyńskiego*, do blizkiego miasteczka, w kilka godzin skonał. Nie pod-

padało iuż zatém żadnéy wątpliwości, że czarny rycerz, nie co był innego, tylko duch *Zelisława.*

(*dokończenie nastąpi*)

O NIESZCZĘŚCIU.

Nic nie masz niedorzeczniéyszego, iak te długie mowy i suche rozumowania, któremi niektórzy pocieszać pragną osoby, dotknięte iaką ciężką stratą. — Wszystkie przełożenia rozbiiaią się o to słowo: *Straciłem!* — Na twoie nieszczęście, mówią mi, nie ma lekarstwa. — Dla tego też płaczę, że nie ma żadnego lekarstwa; bo gdyby było, pocóż miałbym narzekać? — ałe łzy twoie są bezskuteczne. — Jednak mi ulgę przynoszą — Twoie dziecie iest szczęśliwe; nie znało goryczy świata. — Ja właśnie chciałem mu dać poznać iego rozkosze. — Przez cały bieg życia, twóy przyiaciel był wzorem cnot wszelkich. — Dla tego też, nie mogę go dosyć odżałować! —

Płacz wspólnie z nieszczęśliwym — płacz długo, zanim wyraz pociechy, z ust twoich wyydzie. — Twoie mowy, stałyby się dla niego ciężarem — twoie łzy wzbudzaią w nim ufność — daią mu poznać, że nie wszystko stracił. —

Kiedy żal iest lekki, łatwo iest rozerwać tych, którzy go doznaią — ale częstokroć pocieszenie staie się uciążliwym, przez zły wybór środków. — Nieszczęście iest wymagaiącém — trzeba mu ulegać — trzeba mu wolność zostawić — Samotność nie tak iest przykrą cierpiącym, iak towarzystwo natrętnych. — Samotność wprawdzie uderzą i zapala wyobraźnią — ale iéy nie raz pocieszaiące myśli nasuwa. — Odosobniony od istot żyiących, nieszczęśliwy bliższy iest opłakiwanego przedmiotu. — Nierozrywany towarzystwem ziemian, przenosi się myślą w nadziemskie kraie, gdzie iuż łzy przestaią bydź potrzebą — upa-

truie w nich straconéy osoby — zdaie mu się, że ią widzi — że z nią mówi. To przyiemne ułudzenie, pokrzepia iego siły — ożywia obumarłe władze — wyrywa go do grobu wiodącéy rozpaczy, i światu przywraca. Tak to dobroczynna Opatrzność, umie zastosować uleczaiące środki do cierpień człowieka. Im dotkliwsze są nieszczęścia, tym większa w serce wstępuie nadzieia.

Wyiątek z Podróży do SZWECYI.

Co *Fryderyk* W. dla *Berlina*, to *Gustaw* III. dla *Sztokolmu* zrobił. Wszystkie pomniki zdobiące to miasto, winny swóy byt troskliwéy iego nad pięknemi sztukami opiece; — niektóre z nich nawet, wystawione podług iego własnego abrysu, będą na zawsze żyiącém świadectwem genjuszu tego Władcy, którego zbyteczna hoyność, byłaby bez wątpienia kray zgubiła.

Xiąże ten odziedziczył te rzadkie przymioty, po matce swoiéy *Ulryce*, która przez swoią naukę, rozsądek i światło, pokazała się godną swego brata *Fryderyka* W.

Pałac królewski wystawiony iest z cegły, porzuconéy gipsem i powleczonéy blado-żółtym kolorem. Cztery iego boki, z czterech odmiennych stron miasta, widzieć się daią. Jest to gmach, na cztery piętra wyniesiony — pokryty na sposób włoski. Nic wykwintniéyszego, iak mieszkanie Krolowéy. — Pokoie Króla odznaczaią się rzadką wspaniałością — większa część ozdobiona iest *gobelinami*.

Gmach Opery, wzniesiony przez *Gustawa* III, iest regularny i piękny. — Mieysca rodziny królewskiéy, są na *parterze*. — Sala nie może więcéy obiąć, iak dziewięćset osób. Wystawiaią na tym Teatrze, sztuki w ięzyku Szwedzkim, w znacznéy części napisane przez *Gustawa* III. Swietne powodzenie iego w za-

wodzie drammatycznym, zbudziło literacką zazdrość *Fryderyka*

Ulica *Królowéy* i Ulica *Regencyi*, składaią nay-piękniéyszą część miasta— i są zamieszkane przez nayznakomitsze osoby w *Sztokolmie*.

Mody Francuzkie, nieco w prawdzie zmienione, są panuiące w *Szwecyi*— i nadaią stroiom mieszkańców, wiele lekkości i wdzięku. Sposób życia, domowe i publiczne zwyczaie, maluią wesoły charakter tego Narodu. Po skończonym obiedzie, każdy z męszczyzn, ukłoniwszy się z uszanowaniem swoiéy sąsiadce, bierze ią pod rękę, i prowadzi do bawialnego pokoiu, gdzie iuż kawa iest przygotowana.

Kobiéty w *Szwecyi*, bardzo są dobrze zbudowane— do dobréy tuszy, łączą uderzaiącą świéżość płci —lubo przyrodzenie, hoynie im swoich darów udzieliło, tyle iednak przykładaią starania w ukrywaniu swoich wdzięków, ile w innych kraiach kobiéty, ubiegaią się, o ich wystawienie.

Wychodząc na przechadzkę, okrywaią się długim i obszernym płaszczem. Noga ich, co do delikatności i składu, nie ustępuie w niczém nodze pięknéy Francuzki — ale i téyby bez pomocy przychylnego wiatru, trudno było dostrzedz. Do tego stopnia posuwaią swoią skromność, iż idąc, nigdy za siebie głowy nie zwrócą. Pocałowanie w *Szwecyi*, iest bardzo rzadkie — szczęśliwy nawet kochanek, nie łatwo zaszczytu tego dostąpić może. Boiaźliwy wielbiciel starannie ukrywanych wdzięków, przestać musi na małym uśmiéchu w chwili spotkania, i tkliwém westchnieniu, w chwili rozłączenia.

Szczęśliwa Odpowiedź.

Pan de *Maupertius*, Prezes Akademji Berlińskiéy, towarzyszył *Fryderykowi* W. na woynę, i zabrany został przez huzarów Cesarskich. Przyprowadzony iako niewolnik do *Wiednia*, został przedstawionym

Maryi Teresie. Po długiéy rozmowie, bardzo pochlebnéy dla niego, zapytała go Monarchini: „Czy rozumiész WPan, że Xiężniczka Pruska *Ulryka*, iest w istocie, tak iak mówią, naypięknieyszą Xiężniczką w Europie?" „Wierzyłem temu ieszcze wczoray" — odpowiedział grzeczny Jeometra.

Zdanie Officera Francuzkiego o POLKACH.

Polki umieią w każdém zdarzeniu, nadawać stroiom swoim, pewny rodzay lekkości i powabu, zachwycaiącego oko. Rzadko w którym kraiu, kobiéty zdolne są z trafniéyszym gustem, używać drogich kamieni. W niczém iednak nie okazuią tyle sztuki, ile w ubiorach zwyczaynych. Wdzięki przyrodzone, maluią się w każdém ruszeniu, i rozwiiaią się bez przymusu.— Króy i kolor sukien, w zupełnéy iest zgodzie z osobą. Poruszenia Polek, są umiarkowane i nadaią im coś czaruiącego. Stróy balowy iest ich tryumfem — nie trzymaiąc się ślepo mody, idąc za popędem swoiéy wyobraźni.— Nie masz nic bardziéy uderzaiącego, iak widok balu w *Warszawie*, na którym iest zebrany wybór elegantek.

M O D Y.

Pomiędzy modami powszechnie przyiętemi, położyć trzeba bez wątpienia, modę *kłosów.* — Czy to stróy z włosów, czy to kwiat na kapeluszu, czy to nakoniec bukiet, zdobiący łono piękny kobiéty — wszystko musi w sobie *kłosy* zawiérać. Damy nieznacznie stały się wielbicielkami darów *Cerery* — dość się też długo ubiegały, za darami *Junony.* Kiedy tak dalece *kłos* zyskał względy *Paryżanek*, w *War-*

szawie skromny *Fiiołek*, zdobi wszystkie niemal kapelusze. — Bodayby go zawsze nazwać można, godłem charakteru téy, która go używa!—

Uważano nie zbyt dawno w *Paryżu*, że niektóre młode kobiéty, zarzuciły *loki*. Włosy ich starannie rozdzielone na środku czoła, gładko zachodziły na skronie. Podobny stróy głowy, wymaga bardzo równych włosów, i młodéy tylko służyć może osobie.

Kapelusze ryżowe, częściéy się teraz znowu widzieć daią. Ubranie ich iest proste.

Między zbytkowemi rzeczami w *Paryżu*, położyć można ozdoby stalowe, oprawiane *à jour* na złocie.— Uważano także *lornetki* z iednéy strony stalowe, z drugiéy złote. Podobne przedmioty *galanteryi*, droższe są, iak żeby były z szczerego złota. Wątpić nie trzeba, iż ie w krótce w *Warszawie* uyrzymy.— Wiedzą dobrze nasi kupcy, iż pewniéyszy u nas odbyt na rzecz zbytkową, iak na iaki użyteczny wynalazek.

Ciekawi iesteśmy, czy nasza modna młodzież, przyymie chętnie tę wiadomość, że *Paryżanie* zaczynaią nosić nankinowe pantaljony, z szaremi ciżemkami.

Nowa dumką: *Całus pożegnania* (*le Baiser du départ*) stała się przyczyną, śmiésznego *qui pro quo*. — Pewna Dama zakupiwszy sobie nowości muzyczne, wyszła z Magazynu, i iuż do karéty wsiadać miała — w tém przychodzi iéy na myśl nowa dumka — wraca — i mówi kupczykowi: „Proszę mi dać ieszcze iedną rzecz.“— „Cóż takiego?— zapytał grzeczny młodzieniec:— „Oto *całus pożegnania*!“ — Na te słowa, kupczyk nie posiadaiąc się z radości, przeskakuie przez stół, dla pocałowania Damy — która zdziwiona, nie wiedziała czy się miała gniéwać, czy śmiać, z tak mylnie wziętego żądania.

WARSZAWA.

„Młodzież powinnaby przecie raz zacząć statkować — weyrzéć ściśle w swoie postępowanie — zarzucić nie potrzebne wydatki — a zamiast ubiegać się, o poklask modnego świata, zasługiwać na szacunek współziomków, i przyiaźń cnotliwych. — Powinnaby raz zwrócić uwagę na interessa familiyne — zastosować rozsądnie wydatki do przychodów — choćby tylko dla tego, aby uniknąć przykrych korrespondencyi z rodzicami i opiekunami, względem zasiłków pieniężnych i zaspokoienia powiększaiącéy się massy długów. Bo wreście, na cóż się przydadzą te ciągłe niespokoyności — te błagalne listy, które każą myślić Oycom i Matkom, że się w ten czas tylko zaymuiemy ich osobą, kiedy potrzebuiemy ich wsparcia — i że przywiązanie nasze do nich, zawsze iest w stosunku z osobistym interessem? — Możeż bydź co smutniéyszego, iak podobne przekonanie? — Nie trzebaż się starać wszelkimi środkami, ażeby ie zniszczyć? — Ukontentowanie pochodzące z zadowolnienia dawców życia, nie iestże wyższe, nad wszelkie uciechy miłości własnéy? Mamyż poświęcać zawsze naszym dziwactwom i niedorzecznościom, spokoyność tych, których istotnie kochamy? — mamyż dręczyć bez ustanku, naypewniéyszych naszych przyiacioł?

Stało się — zrzekam się na zawsze dotychczasowego sposobu życia. — Oddalam mego zuchwałego *Zokeja* — zatrzymam przy sobie tylko zasłużonego *Tadeusza*. Zrzekam się tego kosztownego mieszkania — przenoszę się z piérwszego piętra, na trzecie. — Po cóż mam mieć tyle sukien? Przedaie moie meble wiedeńskie — moią porcelanę — nakoniec moie pierścionki, Zaprowadzam zupełną reformę w *budżecie* moich wydatków!“

Tak rozprawiał z sobą młody *Alfons*, wstawszy dnia iednego z wielkim bólem głowy, po całonocnéy

zabawie — i widząc do szczętu wypróżnioną szkatułkę Szlachetnym powodowany uczuciem, zaymuie się przywiedzeniem do skutku, ułożonéy reformy. Przedaie rzeczy zbytkowe — zostawia sobie nieodzownie potrzebne — odprawia nieczynnych służących — ustępuie przyiacielowi *karykla* — pozbywa się drogich sprzętów — znowu iest przy piéniądzach. Zadowolniony z dokonanego heroizmu, wesoło przechodzi się po pokoiu, peroruiąc przeciw próżności i zbytkom światowym. — W tém puka ktoś do drzwi. „Któż tam? — proszę weyść.... ah! to ty *Władysławie* — tak rano — cóż cię sprowadza?“ — „Drogi przyiacielu! wydarza się przedziwna okoliczność — X... powrócił do *Warszawy*, obładowany zaciągnioną nową na swoich dobrach summą — zbiéramy się dzisiay u niego — chceszże zapewnić swoie i moie szczęście?” — „Ależ....“ — „Nie masz tu żadnego *ale* — iestżeś przy piéniądzach?” — „W prawdzie mam blizko do czterystu dukatów... ale... ale...” — „Ale... ale... póydź ze mną... nie traćmy czasu... wygrana nasza!“ Nie śmie się długo *Alfons* opiérać — żądza gry odzywa się w nim na nowo — zabiéra wszystkie piéniądze — i wybiega z usłużnym przyiacielem, karmiąc się nadzieią przyszłego szczęścia. — Siadaią do gry — *Alfons* gra z zapałem — nie upłynęło dwie godzin, już zniszczony, zawstydzony, rzuca z rozpaczą karty — i wraca do pustego mieszkania, nowy plan reformy układać.

Są ludzie, którzy do tego stopnia nawykli do *przesady*, że niech im się zdarzy kaszlnąć, już zaraz skarżą się na ogromny ból piersi — niech ich kto przypadkiem potrąci, rozumiałby kto słysząc ich żale, że im wszystkie kości pogruchotał — w pokoiu, duszą się z gorąca — na dworze, zawsze iest dla nich niezdrowe powietrze — na widowiskach, umiéraią z nudów. — Mówiąc o iakim maiętnym człowieku, zaraz iego dochody na miljony rachuią — chwaląc piękną kobiétę, ogłaszaią ią za naypiękniéyszą w *Europie*, — za bóstwo ziemskie. Wszystkie talenta są u nich nadzwyczayne — genjusze nieporównane — przy-

mioty nad-ludzkie. Opowiadaiąc naymniéysze zdarzenie: *np*; że się poiazd złamał na ulicy, albo że wiatr drzewo w ogrodzie złamał — iuż zaraz dodać muszą, że niesłychany wiatr, nieopłacone poczynił szkody — wszystkie dachy nadwerężył — wszystkie drzewa powywracał, a nawet ludzi porywał; — że złamany poiazd, nayokropniéysze za sobą pociągnął nieszczęścia — konie się rozbiegały — rozbiły z dziesięć kobiét — skaleczyły do dwudziestu dzieci.... Coż z tego przyzwyczaienia wypada? oto, że osoba która nieszczęśliwie do niego nawykła, bardzo mało, a ci którzy ią słuchaią, żadnéy do podobnéy mowy, nie przywiążnią wagi. Rozumieią niektórzy, że *przesadzaiąc* swoie zdania, uczucia, mowy, większą wzbudzą ciekawość — większą na siebie zwrócą uwagę. Ale przeciwnie się dzieie. Jak tylko który z tych ludzi w *hiperbolach*, usta otworzy, tak dalece iuż są wszyscy przeciw niemu uprzedzeni, że go tylko słuchaią z grzeczności — i że sobie nigdy nie zadaią pracę rozbiérac nawet, co w opowiedaném przez niego zdarzeniu, może bydź nadzwyczaynego, lub uderzaiącego. *Przesada* zatém, słusznie iako młodsza siostra kłamstwa, uważaną bydź może — i równie iak kłamstwo, sama sobie karę nayczęściéy wymierza.

Bronisława lubiła stroie, bale, widowiska, wykwintne życie, grę, wielki świat, obmowę, gnusność i przepych. Nie dziw — *Bronisława* kończyła lat dziewietnaście — wychowana na iednéy z modnych pensyi, dopiéro co za mąż poszła. *Bronisława* ma teraz lat dwadzieścia cztery — zrzekła się tańca, i przysięgła nie *figurować* nigdy na balu; — od dni pietnastu, dotrzymała słowa — a zachwycony małżonek, nie przestaie powtarzać tym wszystkim, co go słuchać raczą; „Jaki to rozsądek w młodéy kobiécie! — zrzekać się w naypiękniéyszéy porze wieku, iednéy z nayprzyiemniéyszych uciech — pogardzać próżnością, wszystkim właściwą. Co za szczęście, podobną żonę w Stolicy posiadać! Jest ieszcze w prawdzie nieco obmowną, opieszałą, mało wglądaiącą w rządy domowe

— ale się to wszystko z czasem poprawi. Za kilka lat, da Bóg doczekać, *Bronisława* będzie doskonała!..."

Dobry mężulko, nie wie bez wątpienia, iż utrata lekkości i zgryzota, z powodu wyższości innych kobiét w tym względzie, były iedyną przyczyną, dla któréy *Bronisława* taniec zarzuciła. Nie chce na to pomnić, że ieżeli na poprawę każdéy wady, sześć lat potrzeba, ukochana małżonka w sto lat, daleką ieszcze od doskonałości będzie. Jest to ieden z łatwowiérnych i ślepo zawierzaiących małżonków, którzy są szczęśliwymi obok kobiéty pełnéy zdrożności — w ten czas, kiedy inni małżonkowie, nie przestaią się żalić, i nazywać się nieszczęśliwymi, w pożyciu z kobiétą doskonałą.

Błagam pomocy Waszéy Xiążęcéy mości...
„Ja nie iestem Xięciem." —
Racz Mości Hrabio....
„Nigdy nie byłem Hrabią.!" —
Jaśnie Wielmożny Panie...
„Jeszcze nim nie zostałem."

Biédny Supplikant nie wiedział, że ma do czynienia z osobą, która przekłada zasługi nad tytuły — i która więcéy ceni osobiste przymioty, niż głośne, a niezasłużone imie. Już przeciwnie nie widzimy takich, którzyby się prędzéy wyrzekli *reputacyi* świat-łego męża, cnotliwego obywatela, niż tytułu Hrabiego...:

Wyszła w tych dniach na widok publiczny, zapowiedziana ieszcze przed nowym rokiem *Flora*. — Rocznik ten Damski, ozdobiony iest portretami, czterech znakomitych w literaturze oyczystéy mężów: Potockiego *Stanisława* — Niemcewicza — Karpińskiego i Godebskiego *Cypryana* — iakoteż muzyką, znanych ze swoich talentów i pięknych dzieł: Kurpińskiego, Elsnera i Szymanowskiéy. Wydawca ofiarując swóy Rocznik Domom, wyraził: „Płci piękna! rozerwać Cię przyiemnie w chwilach wolnych, iest moim iedynym celem — zadowolnienie Twoie, iedyną będzie nagrodą." — Wydawcą *Flory*, iest *Xawery* Godebski.

POEZYA.

OBIETNICE.

Niechay Junak słowo daie,
Że się stawi mężnie wszędzie —
Młodzik co obleciał kraie,
Że nigdy kłamać nie będzie —
Żonka lubiąca rozkosze,
Że zawsze wiary dochowa —
Przyiaciele, mówcie proszę,
Kto też z nich dotrzyma słowa?

„Dość długo, krzyknął poeta,
Muza iest dla mnie upartą —
Dzisiay cierpień moich meta,
Napiszę dzieło in quarto. —
A talent nieznany wcale,
Uwieńczy rószczka laurowa!“ —
Zamiar twóy poeto chwalę —
Czy tylko dotrzymasz słowa?

Mężulko zagrzany winem,
Mówił do żony z zapałem:
„Tyś dla mnie szczęściem iedyném,
Nigdy cię tak nie kochałem —
Tkliwe starania ponowię,
Nie zawiedzie cię ma mowa.“ —
Dałby to Bóg — żonka powie —
Żebyś raz dotrzymał słowa!

Kleant tkliwe głosząc żale,
Mówił swoiéy Penelopie:
„Dzisiay sobie w łeb wypalę,
Albo się w Wiśle utopię —

Dziel z rywalem moim łoże...
Ja świat porzucam.... bądź zdrowa!"—
Po téy tragiczn éy perorze,
Nie wiem, czy dotrzyma słowa.

GAŁĄŹ
Bayka.

Już czarne chmury potoki wód zlały,
Juz ziemia z przed oka ginie —
Małe strumyki do wielkich nabrżmiały,
I każdy z hałasem płynie.—
„Ż drogi!.. ustąpcie podłe liści zgraie! —
Zawoła gałąź, wzięta pędem wody —
Między motłochem mało mam swobody,—
W. oddalone lecę kraie!"—
Ledwie wyrzekła — przestraszone śmieci,
Zrobiły mieysce — a gałąź nadęta,
Po bystréy wodzie nieścigniona leci,
Z przestrachu innych kontenta.—
Lecz cóż się dzieie? — O losu zawody!
Słońce iaśnieie — iuż koniec téy słocie —
Opadł i strumień, za przyyściem pogody —
A dumna gałąź, osiadła na błocie. —
Nie ieden z ludzi nie wierzy — a przecie,
Ileż to takich gałęzi na świecie.

M.

SZARADA.

Piérwsze w wysokim u Anglików względzie —
Me drugie przewróć, a płynąć będzie —
Wszystko w naywyższym u poetów celu —
Dążą doń wszyscy— trafi nie wielu!

J. Z.

Znaczenie Szarady w przeszłym Numerze: *Kornel.*